

„...i kiedy ujrzy ślad stopy człowieka odcisnięty na piasku, będzie ten ślad na kolanach
całował z radości...”
(Nostradamus)

Hałas.

Smród spalin, łoskot tramwajów, gwar spieszących się ludzi... Pisk wnerwiających melodyjek komórek. Tłum. Pośpieszna przepychanka do autobusu. Lawirowanie między zbyt wolno idącymi przez pasy. Załoczona winda. Znadto wyperfumowani osobnicy.

Biurowy szmer. Dzwonienie telefonów, brzęczenie faksów, pstrykanie xero, szelest drukarek. Rozmowy... urywane, przez telefon, nerwowe, wybuchające śmiechem o niesprecyzowanym podmiocie/przedmiocie. Zapach potu, zaduch z nieodkazanej klimatyzacji, drażniąca woń czyjegoś śniadania. Ludzie! Głośni, marudni, wtrącający się w nie swoje sprawy. Zmęczenie.

Powrót.

Nadal smród i hałas. Huk nigdy niezasypiającego miasta. Wycie policyjnej syreny gdzieś w oddali. Histeryczny płacz dziecka i strofujące wrzaski kobiety. Pisk opon, znów krzyki i czyjeś złorzeczenia. Odgrażanie się. Dzwonek roweru... Wiązanka przekleństw.

Dom.

Nawet tutaj natarczywe odgłosy intruzów. Stukanie z piętra wyżej, ryczący telewizor za ścianą, dudniąca muzyka z balkonu obok. Odgrzewany obiad. Telewizyjna nuda, marudzenie dziecka, jakiś durny serial. Znużenie. Za ledwie letnia woda pod prysznicem. Irytacja. Niewygodne łóżko, za krótka kołdra, szorstka pidżama. Wciąż czyjaś denerwująca obecność gdzieś tam za ścianami...

Noc.

Prywatka piętro niżej do czwartej nad ranem. Nienawiść!

Poranek.

Wściekle dzwoniący budzik. Złość. Zmęczenie. Niewyspanie. Niechęć.
Kolejny jazgotliwy dzień... i bolesna świadomość, że nic się nie zmieni... Bo przecież... nikt nie może niczego zmienić!

Hałas.

Cisza.

Pustka. Gorące powietrze, tak suche, że odbierające oddech. Gęste od kurzu. Wszędzie dookoła piach. Pustynia. Pałace usta i trzewia pragnienie. Głód. Brak sił...

Cisza. Przerażająca. Dzwoniąca w uszach wściekła cisza! Tylko łapczywy, płytki świst własnego oddechu. Brak tchu w spalonych powietrzem płucach. Głos zamiera w wyschniętym na wiór gardle. Spierzchnięte wargi drętwieją. Jaki sens wołać? Kogo?

Samotność. Strach... Spojrzenie pod nogi. Gładki, kremowo-biały piasek. Popiół? Jak okiem sięgnąć... nieskalane żadnym śladem piaskowe zasy.

Spojrzenie za siebie. Ślady ludzkich stóp! Chwila namysłu. Własnych stóp... Poczucie potwornego osamotnienia. Trop ciągnie się po bezkresny pustynny horyzont. Ile to już... czasu? Bo godziny, dni, tygodnie straciły... rację bytu.

Kolejny krok... Ostatni.

Miękki gorący piasek nieco łagodzi upadek. Rozpalone od słońca maleńkie kamyczki parzą ciało tylko chwilę. Najbardziej w policzek. Kurz wdziera się do nosa. Suchy zapach krzemu... Zamknięcie piekących niemiłosiernie, niemalże wypalonych słońcem i żarem powietrza oczu. Zabarwiona czerwienią ciemność. Ulga. Prawie. Cisza. Inna cisza. Kojąca. Ostatnia... Zwalniający oddech. Serce szaleńczo galopujące w odwodnionym, wycieńczonym organizmie, próbujące poderwać go do walki. Bezskutecznie. Tylko bezcelowa gonitwa myśli... Gdzie bliscy? Czy ktoś ocalał? Gdzie są? Gdzie ja jestem? Czy to już koniec? Tak... Prawie odruchowe sięgnięcie dłonią w głąb miękkiego, piaszczystego podłoża. Chłód. Gdzieś tam głęboko... Ukojenie. I bolesna świadomość, że... tego ostatniego przecież nikt nie pochowa.